

# moja matka moja córką



WYDZIAŁ SZTUKI  
PIĘKNEJ W TARNOBURZEGU



BWA  
BIURO STUDIÓW  
ARTYSTYCZNYCH  
TARNOBURZEGU

## **Bogdana Ligęza-Drwal, Agnieszka Drwal-Dziurawiec, Zofia Dziurawiec**

Rozmawiają: Magdalena Ujma, Agnieszka Bartak-Lisikiewicz

### **Bogdana Ligęza-Drwal:**

Początki mojej pracy twórczej sięgają dzieciństwa i czasów wojny. Byłam dzieckiem wojennym. Nauka w czasie okupacji odbywała się nieregularnie. Kiedy lekcji nie było, miałam dużo czasu, który przeznaczałam na swoje pasje. Rysowałam ilustracje do książek, lubiłam też rzeźbić w glinie. Najczęściej były to postacie w tańcu lub portrety, popiersia rodziny i przyjaciół. Rzeźbiarz Mieczysław Bogaczyk z Nowego Sącza był moim pierwszym nauczycielem – pokazywał, jak trzymać narzędzia, wydobyć formę, konsultował moje pierwsze prace. Po wojnie, w 1951 roku, dostałam się na Akademię Sztuk Pięknych na Wydział Rzeźby, dyplom zrealizowałam w pracowni prof. Jerzego Bandury. Na roku nie było nas dużo, chyba siedmioro, w większości koleżanki. Profesor wymagał od nas tyle samo co od chłopców. Rzeźbiliśmy w glinie postacie naturalnej wielkości, więc trzeba było stać przy pracy, chodzić po drabinie, budować rusztowanie do rzeźby. Przy odlewach w gipsie czasami pomagali nam koledzy albo ktoś specjalnie do tego zatrudniony. Nie można było rozczulać się nad sobą. Jeżeli ktoś nie czuł się na siłach, by walić pałką w glinę, to mógł pomyśleć o innym wydziale. Jednak wszyscy bardzo chcieliśmy tam być. W sąsiedniej pracowni profesor Xawery Dunikowski miał trochę inny stosunek do kobiet-rzeźbiarek. Krążyło po pracowniach jego powiedzenie „kobiety to są bardzo zdolne, ale dopiero po czterdziestce, jak dzieci odchowają”, albo „zrobiła Pani piękną rzeźbę, niech teraz wrzuci ją Pani do paki!”. Pod koniec studiów wyszłam za mąż za rzeźbiarza, Anatola Drwala, i odtąd pracowaliśmy razem.

Rzeźbienie to często bardzo ciężka fizycznie praca. Można powiedzieć, że nie jest to typowo kobiecy zawód. Codziennie jest trzymanie w ręce dłuta i młotka, przy większych figurach ciągłe kładzenie i stawianie rzeźby, żeby zobaczyć ją z innej perspektywy i w innym świetle. To też zmaganie się z twardym kamieniem. Wykuwałam rzeźby głównie z kamienia pińczowskiego, ale też z marmuru czy granitu. Innym razem materiałem, który stawiał opór dłutom było drewno lipowe, czy bardzo twardy dąb. Trzeba mieć siłę, aby zmierzyć się z rzeźbą ukrytą w bloku kamienia czy drewna. W tych czasach nie było tylu narzędzi mechanicznych, które ułatwiałyby pracę, a jedynie siekiera i piła oraz zestaw różnej wielkości dłut. Innym razem była to praca na wysokości, na rusztowaniu, kiedy układałam mozaiki na elewacjach budynków lub kościołów. Zwykle ktoś mi pomagał wynieść na rusztowanie wiadra z mozaiką lub kamieniem i zaprawę

do klejenia. Kiedy indziej materiałem była glina. Zdarzały się kilkumetrowe rzeźby, które trzeba było ogarnąć nie tylko wzrokiem, ale też wysiłkiem swoich mięśni. To zdecydowanie niekobiece zajęcie! Może to czas dzieciństwa – wojna, czy młodości – harcerstwo i góry, zahartowały mnie do stanięcia przed tymi niezwykle wyzwaniami. Ale na pewno też pasja i zamiłowanie do swojego zawodu.

Przełomowe w moim życiu było pojawienie się dzieci. Mam ich czwórkę. Po urodzeniu każdego wracałam do pracy tak szybko, jak tylko to było możliwe, dzięki pomocy niani. Nigdy nie chciałam zrezygnować z twórczości. Mój mąż uczył w Liceum Plastycznym, utrzymywał dyscyplinę w domu i pracowni, organizował czas i zarządzał projektami. Razem z nim chciałam realizować coraz ciekawsze zamówienia, dlatego zawsze szybko wracałam do pracy. Wtedy wykonaliśmy między innymi cały cykl figur do Sanktuarium św. Stanisława w Szczepanowie.

Wszystkie moje dzieci ukończyły studia, ale tylko jedna córka – Agnieszka wybrała drogę artystyczną. Skończyła Wydział Konserwacji Dzieł Sztuki na tej samej uczelni co ja i mój mąż. Odradaliśmy jej ten wybór, wiedzieliśmy, że w zawodach związanych ze sztuką z pracy nie wychodzi się nigdy – zadany temat cały czas jest obecny w myślach i trudno się oderwać od pomysłów i projektów. Nie da się po prostu odłożyć wszystkiego na bok i poświęcić w pełni rodzinie.

Trudno powiedzieć, czy macierzyństwo pomaga, czy przeszkadza w pracy twórczej. Wszystko jest ważne i niczego nie można zaniedbać. To, jak je rozumiem, starałam się ująć w swoich rzeźbach. Szczególnie w jednej – figurze Matki Bożej z bocznego ołtarza w kościele XX. Filipinów w Tarnowie. Przedstawia ona roztańczoną Matkę Bożą tuż po zwiastowaniu – oddaje jej radość na wiadomość o staniu się Matką. Jednocześnie ukazuje jej rozmodlenie i postawę służebną w odpowiedzi na trudną decyzję jaką podjęła. W taki sposób starałam się zrozumieć ten stan, mając własne doświadczenie macierzyństwa.

Moje dzieci często były tematem moich prac. Kilka kompozycji portretowych: dwójki i trójki dzieci, córki Kasi i wnuczki Zosi były prezentowane na wystawach w BWA w Tarnowie, Łodzi i Rzeszowie. Teraz rzeźby stoją u mnie w domu i są pamiątką ich minionego dzieciństwa. Powstało również kilka rzeźb plenerowych, przedstawiających dzieci w ruchu – Skakanka, Tańczące dziewczynki na Górze św. Marcina, Dziewczynka z kwiatkiem. Niestety ze względu na kruchość materiału, rzeźby nie przetrwały do dziś. Utrwalone zostały na fotografiach. Były też rzeźby, które sprawiały radość i zabawę dzieciom, np. Sarenki wykonane do parku w Krynicy, którym córki przynosiły trawę i je karmiły, czy Pawie, które były częścią przydomowej fontanny, z ich dziobów lała się woda.

Po śmierci męża zaoferowano mi pracę w Liceum Plastycznym, na jego miejsce. Mimo, że oznaczałoby to stabilizację materialną, nie przyjąłam tej propozycji. Chciałam rzeźbić i poświęcić się całkowicie sztuce i zamówieniom, które stawały się coraz bardziej wymagające. Na pomoc przyszli mi wtedy dawni uczniowie męża – między innymi rzeźbiarz Stefan Niedorezo, z którym przez ponad 10 lat wspólnie realizowaliśmy projekty. W późniejszym czasie do zespołu dołączyło więcej osób, również córka Agnieszka i jej mąż Paweł.

Atmosferę w naszym domu, opisała we wspomnieniach z 1997 r. moja córka Kasia – polonistka: „Mój dom rodzinny na pewno trudno jest określić mianem „zwyčajnego”, w którym plan dnia byłby wyznaczony przez godziny przyjscia rodziców z pracy, po których następowałby odpoczynek, czy też „doglądanie” pracy dzieci. To raczej my narzucaliśmy plan dnia. To naszego powrotu ze szkoły oczekiwali rodzice, abyśmy mogli wspólnie spotkać się przy obiedzie. Gdy myślę o domu, to zawsze odczuwam stałą obecność rodziców, a przynajmniej mamy. Ten fakt, że zawsze jest ktoś w domu, wywoływał poczucie bezpieczeństwa, a zarazem bez troski. Nie musiałam bowiem błąkać się po szkole z kluczem na szyi – ciągle czekał na mnie ktoś, przy kim czułam się dobrze i pewnie. Mój dom rodzinny – zatem – to wzrastanie obok stale zajętych swoją pracą zawodową rodziców. Ponieważ jestem najmłodsza i dorastałam w czasie, gdy moje rodzeństwo chodziło już do szkoły, nieustannie towarzyszyłam mamie przy jej pracy. Byłam przy niej, gdy na ścianie jednego z pokoi rysowała projekty, bawiłam się obok, gdy w pracowni wykuwała

z drewna różne postaci. Najlepszym jednak przykładem tego, że nie opuszczałam swojej mamy ani na krok, jest fakt, że wyjeżdżałam z nią do innych miejscowości, w których pracowała przez dłuższy czas. Zawsze, gdy myślę o tym, przypomina mi się kościół w Pawłowiczkach. Mama była na rusztowaniu i układała mozaikę – a ja siedziałam w kościelnych ławkach i bawiłam się lalkami. Kiedy znudziło mi się, szłam na spacer wokół kościoła albo nawiązywałam znajomość z tamtejszymi dziećmi. Towarzyszyć w pracy rodzicom potrafiłam również i na cmentarzach, na których robili nagrobne rzeźby Jezusa Zmartwychwstałego. Nie miałam jednak nigdy odwagi, żeby wyjść na rusztowanie i w czymś mamie pomóc. Nie interesował mnie również sam proces twórczy – to jak i dlaczego tak się robi lub też skąd mama wie, w którym miejscu pociągnąć dłutem lub uderzyć młotkiem, aby powstało oko, nos lub fałda sukni. To, że rodzice malowali lub rzeźbili było dla mnie czymś tak naturalnym, że aż nienormalny wydawał mi się dzień bez pójścia do pracowni. Czasami tylko dziwiłam się dlaczego, gdy wyjeżdżaliśmy na wczasy, rodzice brali ze sobą bloki rysunkowe i akwarele i szukali pięknego miejsca i rysowali je. Później dopiero dowiedziałam się o istnieniu czegoś takiego jak pasja twórcza. Wtedy jednak denerwowało mnie to – bo trochę nudziłam się. Czasami nawet próbowałam swoich sił w dziedzinie malarstwa, ale zrezygnowałam, gdy widać było, że moje rysunki nie są takie ładne jak mamy. Jednym z ważniejszych i bardziej ulubionych zajęć tamtego czasu było pozowanie. Mogłam wtedy choć trochę pomóc rodzicom. Do tej pory odczuwam wielką satysfakcję, gdy odnajduję na ścianach kościołów, czy też w wyrzeźbionych postaciach świętych swoją rękę czy nogę. Lubiłam to zajęcie, chociaż wydaje się ono nudne i monotonne, ponieważ czułam się kimś ważnym i potrzebnym. Wiedziałam, że bez mojej pomocy mama lub tata mieliby kłopoty w wykończeniu rzeźby. Największą radością było, choć ta okazja nie zdarzała się często, gdy któreś z rodziców malowało mój portret, aby potem dać go na wystawę. Gdy zaczęłam chodzić do szkoły rozpoczął się okres, w którym stale kogoś w domu brakowało. Najpierw zaczęli odchodzić bracia, którzy rozjeżdżali się na studia. Najstarszy Piotr na medycynę, Paweł na informatykę, a siostra Agnieszka na konserwację dzieł sztuki. Pamiętam, jaka była radość w domu, gdy okazało się, że ona jedna z całej naszej licznej rodziny, poszła zdecydowanie w ślady rodziców. W tym czasie, w roku 1982 zabrakło nam ojca. Było to najbardziej smutne ze wszystkich odejść, bo było na zawsze. (...) Czasami zastanawiam się, jaki wpływ na obecne życie i pracę ma fakt, że wzrastałam w takiej właśnie rodzinie. Co zostało we mnie z mojego domu, co będę mogła przekazać, może nawet nieświadomie, mojemu dziecku. Najbardziej oczywistą rzeczą, która od razu nasuwa mi się, jest pewna wrażliwość na sztukę. Chociaż nie jestem malarką ani historykiem sztuki, nie są dla mnie obojętne wystroje kościoła, ani też techniki artystyczne i różne rodzaje sztuki. Wydaje mi się jednak, że ważniejszą nauką przekazaną przez rodziców jest poszanowanie dla pracy. To, co robię, powinnam robić dobrze, doskonalić się w tym, ale przede wszystkim wykonywać to z pasją, z zamiłowaniem. Trudno jest mi wyobrazić sobie zmianę, a raczej „zdradzenie” swojego zawodu po to, aby w innym czerpać większe korzyści materialne. Dla mnie – a myślę, że i dla wszystkich w domu – satysfakcja nie tyle swoja, ale i odbiorców, jest ważniejsza od tego „za ile”. Jest to na pewno bardzo idealistyczne podejście i bardzo trudne w dzisiejszych czasach, ale cenne i na pewno warte tego, aby spróbować go podjąć.”

Mając pasję i dobrą organizację, można pogodzić wszystko. Ważne by mieć swój cel. Sztuka jest wymagająca, bywa kapryśna i zazdrosna. Znam artystów, którzy całe życie poświęcili się tylko twórczości i osiągnęli wielkie sukcesy. Ja wybrałam inaczej, uważam, że dzieci są najważniejsze. Nie zmieniałabym swojej decyzji.

## **Agnieszka Drwal-Dziurawiec:**

Mój ojciec Anatol Drwal, uczeń prof. Xsawerego Dunikowskiego, przez wiele lat pracował jako nauczyciel rzeźby w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Tarnowie. Mama, także absolwentka rzeźby na ASP w Krakowie (w pracowni prof. Jerzego Bandury) zawsze bardzo zajęta przy realizacji licznych zamówień, projektowała, rysowała i rzeźbiła w pracowni znajdującej się w naszym rodzinnym domu. Wraz z trójką rodzeństwa wychowywałam się wśród wiórów drewnianych, pni lipowych suszących się na podwórku, gliny i wykuwanych w kamieniu kilkumetrowych rzeźb. Nauczeni byliśmy wielkiego szacunku dla pracy rzeźbiarskiej, trudu twórczego, ale także fizycznego, jaki się z tą pracą wiąże. Od dzieciństwa tata przestrzegał: „tylko nie ruszajcie dłut” – dlatego może nigdy nie rzeźbiłam. Często pełnił rolę modeli do rzeźb i rysunków rodziców. Do tej pory na półce stoją nasze portrety, splątane ze sobą trzy głowy rodzeństwa oraz brat i siostra. Jako 4-letnia dziewczynka pozowałam do płaczącej postaci, stojącej przy barykadzie pomnika Walki i Męczeństwa przy Starym Cmentarzu w Tarnowie. Zachował się prototyp na podwórku w skali 1:1, który do dziś tak samo stoi oparty o ścianę naszego domu. Rodzice zawsze byli blisko. Wakacje i ferie spędzaliśmy z młodzieżą Liceum Plastycznego na plenerach w Gdyni, Olsztynie lub w dworze w Jeżowie. Wspominam te chwile jako wspaniałe czas dzieciństwa. Zwłaszcza niezapomniane były wieczory w Jeżowie i opowieści prof. Wiesława Rorenscheffa, malarza zakochanego w tym dworze. Rodzice pokazywali nam to, czym sami żyli. Bardzo często, jako dziecko, towarzyszyłam mamie w pracowni rysując – chciałam to robić tak jak ona. Otoczona taką atmosferą, naturalnie wybrałam ASP. Nie zrobiłam tego od razu, nie skończyłam Liceum Plastycznego, lecz I LO w Tarnowie w klasie matematyczno-fizycznej. Był to czas, kiedy poznałam wspaniałych ludzi niezwiązanych ze sztuką i mogłam świadomie wybrać. Mama nigdy nie narzucała mi wyboru kierunku studiów. Lubiłam rysować i chciałam zdawać na ASP na Wydział Grafiki. Tata jednak zasugerował, bym lepiej poszła na Konserwację Dzieł Sztuki, żebym później łatwo znalazła pracę. Nie do końca wiedziałam jak w praktyce wygląda ten zawód. Jednak zaciękawiona czymś nowym i nieznanym zdecydowałam się i wybrałam Konserwację. W 1981 ogłoszono stan wojenny, kilka miesięcy później, tuż przed maturą, zmarł mój ojciec. Sytuacja w domu była bardzo ciężka. Nie dostałam się na studia. Moja mama mimo trudności, mobilizowała mnie do wytrwałej pracy, dopinowała w dążeniu do celu. Kolejnego roku dostałam się na studia z pierwszą lokatą. Na ASP w Krakowie zdobyłam podstawy konserwacji, technologii dzieł sztuki, kopii i malarstwa. Praca konserwatora pozwala na stanięcie oko w oko z twórczością wybitnego artysty albo odsłonięcie dzieła ukrytego pod warstwami przemalowań. Ale żeby to zobaczyć, ucieszyć się nowym odkryciem, trzeba zmierzyć się z kilkunastu-kilkuwielokrotnym kurzem, brudem itp. oraz z nawarstwieniami usuwalnymi często tylko przy pomocy silnych środków chemicznych. Czasem to dni spędzane na rusztowaniu, ubranym w parę starych, ciepłych swetrów i polarów. Mieszkanie na starej, nieogrzewanej plebani, w której „straszy”. To nie stwarza dobrych warunków do zachowania iście kobiecego wyglądu. Po pojawieniu się dzieci takich sytuacji nie było jednak dużo. Większość prac wykonywałam w swojej pracowni. Pracowałam nie tylko przy zabytkach. Mama kształciła mnie dalej w kierunku twórczości sakralnej, dzieląc się swoim doświadczeniem, ucząc szacunku dla tego rodzaju sztuki, wskazując na popełniane błędy. W tym czasie stworzyliśmy zespół zajmujący się wystrojem wnętrz sakralnych. Mama była Spiritus Movens, projektowała, rzeźbiła, rysowała. Ja zajmowałam się kolorystyką, obrazami, a czasem witrażami. Mój mąż, także konserwator zabytków, był odpowiedzialny za technologię i pozłotnictwo. Współpracowaliśmy z zaprzyjaźnionymi rzeźbiarzami, metaloplastykami, stolarzami. Powstało wtedy wiele realizacji wystroju wnętrz sakralnych, w których połączyliśmy nasze działania, rzeźbę, malarstwo, pozłotnictwo i metaloplastykę

### **Czy macierzyństwo pomaga czy przeszkadza w byciu artystką?**

Mam dwie córki. Niedługo po urodzeniu każdej, mimo dużego fizycznego zmęczenia, wracałam do

pracy. Mama bardzo mobilizowała mnie do pracy. Pamiętam, kiedy córka miała trzy tygodnie, mama mówiła „weź się do jakiejś roboty, żeby ci się talent w mleko nie przemienił!” – i brałam się. Wieczorami i nocami malowałam, kopiowałam, powstała wtedy nawet droga krzyżowa – cykl 14 obrazów do małej kaplicy. Teraz, moja córka Zosia, absolwentka grafiki, pomaga mi w projektowaniu napisów lub tablic. Jej zawdzięczam znajomość Photoshopa oraz pomoc w zmaganiach z komputerem. Bardzo cenię jej spojrzenie z innej perspektywy, czasem krytyczne. Pomimo różnic, nie ma między nami konfliktu pokoleń. Jest wymiana myśli, doświadczeń i ciągle wspólne poszukiwania Piękna.

**Czy da się jakieś doświadczenia związane z macierzyństwem przenieść w pole sztuki? Chociażby przy realizacjach sakralnych związanych np. z alegoriami macierzyństwa, wątkami Matki Boskiej – czy własne doświadczenie macierzyństwa jakoś zmienia przygotowywanie takich realizacji?**

Macierzyństwo jest ściśle powiązane z kobiecością, dlatego w twórczości kobiety – matki temat ten jest bardzo ważny. Kiedy przyszło mi zmierzyć się z przedstawieniem macierzyństwa w sztuce sakralnej, to w dzieciach poszukiwałam niewinności i czystości jaką chciałam przekazać. Temat macierzyństwa jest obecny w sztuce od początku dziejów. W mojej pracowni konserwacji zabytków bardzo często gościły obrazy lub rzeźby o tej tematyce, w przeróżnych ujęciach odmiennych z upływem wieków i upodobań ludzi. Były to dzieła ukazujące radość Bożego Narodzenia, ale też mękę serca Matki Bolesnej. Macierzyństwo to także współobecność w każdym momencie życia dziecka.

**Czy miała Pani problem z godzeniem macierzyństwa i pracy zawodowej? Czy miała Pani jakieś sposoby na godzenie tych światów?**

Nigdy nie pracowałam na etacie i nie mogłam po ośmiu godzinach zająć się rodziną, zostawiając pracę gdzie indziej. Pracownię mam w domu, dlatego musiałam pogodzić jedno i drugie. Udawało się to dzięki pomocy męża i krewnych. Wymagało to jednak dużej dyscypliny i narzuceniu sobie planu dnia. W mojej pracy, zdarzają się nieprzewidziane sytuacje. Często trzeba było je nadrabiać późną nocą lub wczesnym rankiem. Zdarzało się, że dopuszczałam dzieci do „pomocy” przy prostych zabiegach konserwatorskich, albo były pomocne w detalach obrazów.

**Czy trudno jest być córką artystki?**

Być córką artystki takiej jak moja mama? Była zawsze przede wszystkim mamą i wiedzieliśmy, że to my jesteśmy najważniejsi. Zawsze była blisko i potrafiła zostawić nawet najpilniejszą pracę widząc, że jesteśmy w potrzebie. Wspierała w niepowodzeniach i nie pozwoliła zbyt długo cieszyć się sukcesami. Tworzenie było częścią niej samej.

## Zofia Dziurawiec:

Moja „przygoda ze sztuką” chyba nigdy się nie zaczęła. W pewnym momencie nauki, zaczęłam przygotowywać się do zawodu – artysta. Na wszelki wypadek, gdybym miała iść na studia artystyczne. Sztuka natomiast była obecna w moim życiu przez cały czas. Wychowałam się w domu, w którym pachniało farbami a w lodówce zamiast słoików z dżemem znajdowałam białą lub czerwoną maź, przypominającą gotowaną kredę. Mój pokój często był adaptowany jako magazyn na „obrazy odłożone na potem”. Wieczorami w kuchni tata precyzyjnie, na wadze jubilerskiej, przy pomocy pęsety i malutkich odważników odmierzał mydło i czerwony proszek do pulmentu. Kiedyś, babcia poprosiła mnie, bym z samego rana pojechała na rowerze do lasu z małą siekierką i znalazła dla niej suche korzenie sosny. Miałam szukać sosen rosnących na skarpie, w miejscu skąd wydobywano piasek. Potem, kazała mi je gotować tak długo, aż zmiękną... Okazało się, że gotowane korzenie sosny to najlepszy materiał na koronę cierniową do jednej z jej rzeźb. Razem z moją siostrą, w dzieciństwie pełniłyśmy rolę modelek dla mamy i babci. Musiałyśmy pozować do zdjęć, z których później mama malowała obrazy. Będąc w domu, do tej pory co chwilę trafiam na fotografie swoich stóp, rąk w dużym powiększeniu. Na święta rodzice zawsze nas przebierali, aranżowali tło, często swoimi aktualnymi pracami, robili zdjęcia i wysyłali takie kartki do rodziny. Nie lubiliśmy tego pozowania. Z serii zdjęć jakie wykonywał tata, zwykle tylko jedno było udane, na pozostałych robiłyśmy głupie miny. Tata i tak je wywoływał, a potem ukrywał w albumie pod spodem tych „właściwych”. Niedawno odnalazłam wszystkie odrzucone zdjęcia i przedrukowałam je na nowo. Dołączam je do tekstu – ilustrują przesyt dziecka pracą rodziców. Moja mama i babcia współpracowały ze sobą. Babcia projektując ołtarze, rzeźbiąc i układając mozaiki, mama malując do nich nowe obrazy, odnawiając stare i projektując witraże. Tata ma swoją firmę konserwatorską. Współpracując jeszcze z kilkoma osobami, zajmowali się kompleksowym wyposażeniem wnętrz kościołów. Najtrudniej w tej pracy jest być stereotypową kobietą: strój codzienny to strój roboczy – stare spodnie i fartuch (w przypadku mamy) lub ciepły polar do pracy w piwnicy (babcia); fryzura – praktyczna, najlepiej krótko ścięta; makijaż – po co, do pracy w domu? Nie mówiąc już o malowanych paznokciach w pracy z gliną lub chemią. Tego w moim rodzinnym domu nie było. Może czasami, od święta i na wesele. Nigdy nie planowałam iść w ich ślady. Nie odnalazłabym się w tej roli i nie chciałam robić tego samego. Rodzice mnie nie namawiali. Mimo, że mój dziadek kiedyś uczył w Liceum Plastycznym w Tarnowie, mama zdecydowanie mi je odradzała. Chciała, żebym miała solidne wykształcenie z przedmiotów ogólnych, a nie skupiała się na rysowaniu i malowaniu. Nie upierałam się, skończyłam liceum ogólnokształcące. Jednak model pracy jaki wyniosłam z domu, nie pozwalał mi wybrać innej ścieżki – trafiłam na ASP. W długich przygotowaniach na studia babcia i rodzice byli dla mnie wsparciem. Nad każdą pracą jaką przynosiłam do domu wspólnie się pochylali, komentowali, dorzucali swoje uwagi i udzielali mi korekt. Na początku było to pomocne. Nauczyłam się rysować poprawnie. Z drugiej strony, prace jakie oglądałam, jakie powstawały w domu, mocno wpłynęły na to, jak sama zaczęłam rysować i malować. Chciałam dostać się na grafikę – w opozycji do konserwacji i na przekór rodzicom. Przygotowując się na akademię chodziłam na różne kursy, na których często słyszałam „nie maluj tak jak mama”, „to nie jest Maryja, maluj odważniej”. Dopiero rozmowy i lekcje z Joanną Styrylską zmieniły całkowicie moje spojrzenie na malarstwo. Na pierwszych zajęciach miałam namalować kiczowatą, różową martwą naturę z matrioszkami, słonecznikami Van Gogha i kolorowym wiatrakami z odpustu – efekt szoku zadziałał. Po tych zajęciach inaczej patrzę na twórczość mamy i babci. Nie staram się na nich wzorować. Każda z nas ma swoje światy, które czasem się zderzają. Dorastając w takiej rodzinie i od czasu do czasu pomagając przy pracy, mimowolnie tworzyłam sobie swój własny kompostownik doświadczeń, na którym teraz mogę siać swoją pracę.